

Prenumerata w miejscu.
 rocznie rs. 3 kop. —
 półrocznie rs. 1 kop. 50
 kwartalnie rs. — kop. 75
 Za odnośnienie do domu kwartalnie kop. 10.
 Cena pojedynczego numeru kop. 10.
 z przesyłką:
 rocznie rs. 4 kop. 40
 półrocznie rs. 2 kop. 20
 kwartalnie rs. 1 kop. 10

TYGODNIK

Ogłoszenia.
 za 1 razowe po kop. 7 za wiersz petitu lub za jego miejsce.
 za 2—6 razowe po kop. 4 za wiersz.
 za 7—10 razowe po kop. 3 za wiersz.
 Cena ogłoszeń na pierwszej stronie podwójna.
 Reklamy po 10 kop. za wiersz petitu.
 Cena ogłoszeń zagranicznych po 10 kop. od wiersza.

Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcyja, obiedwie księgarnie w Petrokowie, oraz po zagranicami guberni petrokowskiej wyłącznie agentura „Rajchman i Trendler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Petrokowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. w Czeszochowie „Nowa księgarnia”—prócz tego.
 w Czeszochowie W. Zieliński w Łasku W. Grass.
 w Będzinie „Janiszewski Stan.” w Łodzi „Janiszewski Leopold
 w Brzezinach „Krzemieniowski Jul.” w Radomsku „Ruszkowski Erazm.
 w Dąbrowie „Tomaszewski J.” w Rawie „Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

SKŁAD MATERIAŁÓW APTECZNYCH I FARB

Skład Materiałów Aptecznych i Farb
J. ŻARSKIEGO dawniej Gampfa Soczołowskiego i S-ki
 plac *Ekateryński (Nowy-Rynek Maślany)*

Poleca:

| | | |
|---|---|----------------------------|
| Trany lekarskie najlepsze | Wodę kolońską wybor. | Massy do podług. |
| Oliwę Nicejską i francuz. na flaszki i funty. | Perfumy ang. fran. i kraj. na flakony i buty. | Szczotki Fejsta. |
| Oliwę Malagaską do pal. | Pudry fran. i krajowe. | Krochmala i farbki. |
| Oliwy maszynowe tanie. | Mydła toalet. i kosmet. | Szuwaks. |
| | | Ext. Essen. octow. i Ocet. |

Środki lekarskie, Preparaty chemiczne, Specyjalna, Narzędzia chirurgiczne.

Ceny niskie. Towar wyborowy.

ARTYKUŁY używane w gospodarstwie rolnem, domowem i przemyśle.
 Proszek odwanający Otwocki. (7—3)

J. ŻARSKIEGO, plac Ekateryński w „Petrokowie.”

Współwłaściciele domu № 10 i 11 w m. „Petrokowie” wzywają sukcesorów niewiadomego z pobytu Franciszka Chmielewskiego o zgłoszenie się w interesie własnym, w ciągu miesiąca od daty dzisiejszej, do adwokata przysiężnego Edwarda Zajdlera w domu Spahna zamieszkałego.

Petroków d. 14 lutego 1885 r.

Władysław Rozmarynowski.

(3—2) Emilija Rozmarynowska.

ALEKSANDER LANDSBERG

kandydat prawa

ADWOKAT

(b. pom. Sekretarza sądu okr. petrok.)
 otworzył kancelaryję w „Petrokowie”, przy ul. Moskiewskiej, w domu p. Bartenbacha, dawniej p. Staszewskiego. (3—1)

Rozpocząłem 3 kurs

LEKCYI TAŃCÓW.

Blizsza wiadomość w księgarni W-go Pacewicza. Pieszkow. (2—1)

MEBLE

z 5-ciu pokoi są do sprzedania. Wiadomość w Hotelu Krakowskim. (1—1)

Dominjum Dóbr Potok Złoty

przy stacji pocz. Żarki sprzedaje

z własnej produkcji nasiona,

franco z opakowaniem na wskazanej st. dr. żel.

Funtar przelotu rs. 37 kop. 50

Funt sosny zwyczajnej „ 1 „ —

Funt świerku „ — „ 45 (6—5)

Do sprzedania w dobrach Borowno przez Rłomniec: 3 wieprze roczne, czystej-krwii Lincoln, 1 wieprz dwuletni czystej krwi York-Schire, 6 byków rasy Schorthorn. Szczegółowe objaśnienia listownie. (5—2)

NARADY ZIEMIAŃSKIE.

W numerze 52 „Tygodnia” z r. z., autor artykułu „Na nowy rok” wypisał uwagi innymi następującą, bardzo trafną uwagę: „Ile wylano w ostatnim czasie nadaremnie atramentu, mówiąc o przesileniu rolniczym, lub wzajemnym kredycie miast, za ledwie wiadrem przemierzyły się dąto. Gdybyż to były przynajmniej rozprawy akademickie, rozszerzające choć teoretycznie horyzont wiedzy czytelnika!... Gdzie tam! wszystko

to dyletanckie pogawędki, w których, ilu mówiących, tyle wręcz przeciwnych sobie sądów i zapatrywań: wszędzie znajdziesz szczyptę prawdy i szczyptę fałszu — całej prawdy i praktycznego rozstrzygnięcia danej kwestyi—nigdzie.”

Nigdy słuszność powyższej uwagi nie stała mi tak jasno przed oczy, jak oto po przeczytaniu w „Prawdzie” warszawskiej świeżego artykułu pod tytułem *Narady Ziemiańskie*, którego autor, miasto rzuconych na papier kilku ogólników, mógł być podać nam przecież wykład kwestyi, oparty na zasadach ekonomii społecznej, o których ważności i znaczeniu słusznie się z takim uznaniem odzywa. Ale dla przekonania się o pobieżności wzmiankowanego artykułu, przytaczam takowy niemal w całości, sąd o nim pozostawiając rozważce światłego czytelnika.

„Za czasów Stańczyka—mówi autor—kiedy medycyna znajdowała się jeszcze w pieluchach, każdy spotkany na ulicy przechodzień stawał się odrazu zaimprovizowanym lekarzem; dzisiaj pod tym względem przyszła kolej na socjologię i ekonomię. Wybrakowany recenzent teatralny, pozbawiony zajęcia reporter, próżnujący czasowo sprawozdawca z wyścigów, zwoławszy na konsylium kilku dobrodusznym ziemian, stawiają z pewną miną dyagnozę choroby i przepisują niezawodne lekarstwa. „Znacchorstwo ekonomiczne” wysłała się na wynalezienie przyczyn przesilenia i środków zaradczych, coraz to dziwniejszych, coraz to bardziej nieprawdopodobnych.

Największym błędem tej partackiej dyagnozy jest wyłączenie rolnictwa z pod ogólnych praw ekonomicznych. Ta tylko okoliczność pozwala pisać smalne duby o konkurencji amerykańskiej, cłach na zboże, hyperprodukcji i t. p., nie odróżniając istotnego znaczenia tych faktów i biorąc muchę za słonia. Czynniki te wklajają tylko zjawisko ogólnego przesilenia, powtarzającego się peryjodycznie w pewnych odstępach czasu. Ponieważ rolnictwo przybiera coraz bardziej cechy produkcji kapitalistycznej, nie może się więc wyłamać z pod tego prawa. Peryjodyczność przesilenia jest faktem powszechnie w literaturze ekonomicznej znanym i zbadanym. Cykl ten obejmuje 5 momentów: ożywienie przemysłu, gorączka i nadprodukcya, w następstwie czego brak zbytu, dalej ostre przesilenie i depresya, poczem powtarza się znowu ożywienie i t. d. Cały przebieg trwa zwykle 10—12 lat; chociaż wskutek nieprzewidzianych wypadków zachodzą zmiany co do czasu. Jądro kwestyi spoczywa więc nie w okolicznościach zewnętrznych, ale w warunkach istniejącego ekonomicznego ustroju; tu jest źródło wszelkich przesilen a więc i rolniczych.

Zapewne, że produkcya rolnicza wyróżnia się pod wieloma względami od przemysłowej, i w zastosowaniu do niej owa prawidłowość przesilenia uleż może pewnym

Powieść Elizy Orzeszkowej

CNOTLIWI

wysła z druku nakładem S. Lewenthala, jako tom 13-ty taniego zbiorowego wydania dzieł tej sławnej autorki i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. (2—2)

OSOBA

Z WYŻSZYM PATENTEM

udziela lekcji języków i historii. Wiadomość w Redakcyi. (0—11)

Odkupiwszy powrotnie fabrykę narzędzi Rolniczych w „Petrokowie” od W-go Antoszkiewicza, prowadzić takową będę nadal pod moją firmą; o czem zawiadamiając pp. Rolników, mam honor polecić się Ich względem.

(7—5) Hr. SKARBEK.

zmianom; ale z drugiej strony rolnictwo tak ściśle związane jest z przemysłem i handlem, że podzielać musi ich los. Kwestyja postawiona w ten sposób wymaga odpowiedzi: jaką drogą usunięte być mogą przesilenia ekonomiczne? Rozumie się przez usunięcie ich przyczyn. Rozwiązanie to jednak jest czysto teoretyczne i łączy się z zagadnieniami, dotyczącymi istoty i formy ustroju społecznego. Tymczasem trzeba odpowiedzieć na pytanie praktyczne: czy i o ile ostry przebieg przesilenia może być złagodzony?

Jeżeli na pierwszą część tego pytania odpowiemy twierdząco, to na drugą można tylko odrzec: przez odpowiednie uregulowanie produkcji i zamiany.

Zadanie takie li tylko państwo podjąć jest w stanie!.

Nie mamy bynajmniej pretensyi wskazywania środków, za pomocą jakich ono może działalność swoją w tym kierunku rozwinąć; chodzi nam tylko o zaznaczenie, że dana kwestyja powinna być postawiona szerzej, że zbadaniem jej winni zająć się ekonomiści teoretycy. Tymczasem prasa warszawska wymyśliła jedną tylko radę: ankietę rolniczą. Wiadomo, że u nas szlachcic urodzony mógł być nawet królem, ale wątpimy, czy posiada odpowiednie kwalifikacje na ekonomistę. Kiedy gdzieindziej mężowie stanu i mężowie nauki wspólnymi siłami pracują nad wynalezieniem środków zaradczych i pracują, jak dotąd, bezskutecznie — u nas każdy ziemianin za łaską ducha świętego i z woli gazet warszawskich staje się uzdolnionym do tego trudnego zadania, bez znajomości szerszych stosunków i bez naukowego przygotowania. Zresztą sam pomysł ekspertyzy jest błędnym, bo o ogólnych sprawach rolnictwa najmniej mogą mówić ci, którym widnokrag zacieśnia położenie własnego majątku. Zebranie takie, określone jeszcze granicami powiatu, poruszyć zdolne, co najwyżej, kilka spraw miejscowych.

Sprawozdania z dwóch zebrań w Węgrowie i Łukowie potwierdzają to zdanie w zupełności.

Ziemianie węgrowscy widzą przyczyny obecnej stagnacyi: w nadprodukcji zboża amerykańskiego, w wywozie z Indyi wskutek zbudowania kanału suezkiego (istniejącego od dwudziestu blisko lat), w ciele na zboże w Niemczech, w niemożności wywozu bydła, w braku dróg i wysokich frachtach, w formalnościach akcyjnych, w braku opartych na wzajemności towarzystw ubezpieczeń i kredytu rolnego, w niedostatecznej ilości towarzystw rolniczych, szkół rolnych, stacyj doświadczalnych etc., wreszcie w serwitutach i zastosowaniu wszystkich opłat podatkowych do morga! — Pobieżny rzut oka na te przyczyny przekonana, że pomimo istnienia ich od lat wielu, nie było wszakże poprzednio zastoju. W rządzie środków zaradczych mieszczą się obok takie olbrzymie reformy jak zniesienie podatków bezpośrednich z ziemi i zastąpienie ich pośrednimi, oraz podatkiem od czystego dochodu i zaprowadzenie sprzedaży bydła na wagę!

Niema wątpliwości, że przyczyny smutnego stanu rolnictwa, podane przez ziemian węgrowskich, zasługują w znacznej części na usunięcie i, że środki przez nich wskazane mogłyby być również uwzględnione; ale są to rzeczy powszechnie znane i dostatecznie ogadane, a jeżeli państwo jednych nie usuwa a drugich nie przedsiębierze — to albo ma inne w tym względzie zapatrywania, albo dla powodów innej natury zmian tych przeprowadzić nie może.

Ziemianie łukowscy są nieco oryginalniejsi. Najprzód zwracają oni uwagę na konkurencyję zbożową Cesarstwa, która jest bezpośredni następstwem amerykańskiej, ale nas więcej dotyczy, bo najbliższym powodem braku zbytu nie jest współzawodnictwo zboża amerykańskiego na obcych rynkach, lecz zawalenie naszych rynków zbo-

żem rosyjskiem. Słuszną jest również uwaga (polecamy ją pp. dziennikarzom), że gospodarstwa nakładowe nie oplacają się zgoła. Zagrożonemu rolnictwu zalecano u nas aż do znudzenia wzmocnienie intensywności, zapominając o tym pewniku, że na odległych rynkach, gospodarstwo intensywne współzawodniczyć nie może z ekstensywnem. Nastrój ankiety łukowskiej jest bardzo pesymistyczny, a wyraża on się w zdaniu, że „bez pomocy rządu czeka gospodarzy formalne bankructwo.” Więc pożądanem jest: reforma podatkowa, polegająca na obłożeniu jedynie czystego dochodu z kapitału, znajdującego się czy to w ziemi, czy też w przemyśle, handlu lub papierach publicznych;

dozwolenie zakładania instytucyj na wzajemności opartych;

wytworzenie kapitału dla każdej gubernii na cele i interesy gospodarstwa rolnego i (ma się rozumieć)

zniesienie serwitutów oraz uregulowanie stosunków między właścicielami a służbą i najemnikami.

Gdyby to wszystko zostało urzeczywistnionem, obywatele łukowscy sądzą, że nie potrzebowaliby wtedy troszczyć się o to, „czy kanał suezki został otwarty lub czy między morze Panama zostało przekopane.” Złośliwa ta uwaga świadczy, że obywatele łukowscy zrozumieli poniekąd śmieszność narzuconej im ankiety. Żądania zaś, które wygłosili, są również w znacznej części słusne, ale sprawy przesilenia rolniczego nie wyjaśniają zgoła i skutkom jego zapobiedz nie są w stanie.

Na innych zebraniach zgromadzeni pod przewodnictwem naczelników powiatu ziemianie uchwalą mniej więcej to samo; gazety warszawskie powtórzą ich głosy; „Niwa” doda od siebie parę słów o konieczności wprowadzenia listów zastawnych metalicznych...i — wszystko utonie w zapomnieniu fal! Jeżeli dla zapobieżenia następstwom przesilenia będą przedsięwzięte jakie środki, to z pewnością nie z porady improwizowanych znawców. Tak, czy owak, przesilenie straci wkrótce ostry charakter: *resurrecturi* aż do nowego przesilenia marzyć będą o uregulowaniu serwitutów i oczekiwaniem przyjsciu nowego mesyjasza — mnożnika, a *morituri* wyrzuceni wskutek przesilenia na bruk warszawski — pisać do rozmaitych gazet artykuły ekonomiczne. I chyba dzieci ich przy świetle nauki zbadają przyczyny przesilenia, przebieg ich i sposoby zaradzenia — czego obecne ankiety z pewnością nie dostarczą i na co nie nie poradzą.” L.

Wiadomości Bieżące.

— **Z sali sądowej.** W ubiegłą środę i czwartek, miejscowy sąd okręgowy rozpatrywał głośne w swym czasie oskarżenie, skierowane przeciw panu Aleksandrowi Wolnickiemu, nauczycielowi 4-o klasowej szkoły aleksandryjskiej w Łodzi, i utrzymującemu tamże stancję uczniowską.

Pierwiastkowe śledztwo, zarządzone wskutek zeznań pupilów oskarżonego, miało jakoby wykryć, że W. nad powierzonymi sobie wychowancami miał się w okrutny sposób znęcać; że w mieszkaniu oskarżonego znaleziono oddzielny pokój ze stojącą pośrodku ławką, wokoło której cztery kółka, przymocowane do podłogi, miały służyć do przywiązywania wychowanców, skazanych na chłostę. Przy wymierzaniu kary, W. umyślnie miał takową przewlekać, chodząc pomiędzy jednym a drugim uderzeniem po pokoju, paląc cygaro, lub też czytając gazetę. Dalej, przy stancyi p. W. miała być urządzona tak zwana koza, t. j. ciemna, zupełnie nieopalona komórka, w której p. W. pupilów swoich po parę dni, bez żadnego posiłku, miał przetrzymywać. Narzędziami

kary srogiego wychowawcy miały być laski, które na nieszczęsnych swych ofiarach łamał, oraz rzemienna dyscyplina.

Śledztwo sądowe zupełnie w innym świetle przedstawiło działalność pedagogiczną p. W. Stancyja jego nosiła tytuł „kolonii poprawczej” a składali ją przeważnie uczniowie wypędzani niejednokrotnie ze szkół publicznych i prywatnych za lenistwo i niepoprawne a karygodne obyczaje. Rodzice ich, wezwani przed sąd w charakterze świadków, zupełnie to poświadczyli, objawiając przytem wdzięczność swą oskarżonemu, za jego energiję, surowość pedagogiczną i widoczną pod jego ręką poprawę synów, skończonych przedtem urwisów.

Popierający oskarżenie podprokurator, p. Wiesiołowski, pomimo takiego przez śledztwo sądowe wyjaśnienia rzeczy, zwracał uwagę sądu na to, że prawdopodobnie rodzice nieświadomi byli środków egzekucyjnych, jakich używał p. W., a widzieli jedynie dobre skutki wychowania; że kara cielesna zniesioną została, a p. W. mimo to siekł swoich wychowanców bez upamiętniania, dradycyjnym narzędziem „dyscypliną”.

Obronca podsądnego, p. J. M. Kamiński w nadzwyczaj ściśle pod względem argumentacyi obronie starał się przekonać sędziów, że środki represyjne, używane przez obwinionego, nie w każdym wypadku właściwe, w danym jednak razie miały zupełną racyję bytu; obwiniony bowiem mógłby na uczyniony mu zarzut odpowiedzieć jak ów doktor, pytany, dlaczego choremu bez nadziei, zapisuje truciznę: „jemu już tylko ta jedna może przynieść zbawienie.” Zresztą środki owe nie były to znowu takie narzędzia tortur, jakimi je pierwiastkowe śledztwo przedstawiło; ograniczały się bowiem na zwyczajnej, w każdym domu rodzicielskim praktykowanej chłostę dyscypliną, przy odpowiednich uwagach i admonicyjach; ławka ani podłoga nie miały żadnych maszyneryj, a koza była zwykłym pokojem, pozbawionym tylko wyscielanych mebli.

Następnie obrońca dziwi się zgorzeniu, jakie wywołały w oskarżającym ostre prągi i znaki znalezione na ciele jednego z pupilów p. W.; zwraca też uwagę na to, że każdy z nas pamięta je na sobie samym i, dzięki im w znacznej części, wyszedł każdy z nas na człowieka. Widzimy dziś wcale nie złe skutki dawnego systemu, gdy skutków dzisiejszego nie jesteśmy jeszcze w stanie ocenić dotąd, z powodu braku danych pod tym względem...

To też obwiniony, za wolą, wiedzą, a nawet na wyraźne żądanie rodziców używał dla karania pupilów dyscypliny, a rodzice ci, na samem śledztwie sądowym objawiają mu swoją wdzięczność i twierdzą, że nie jeden z krnąbrnych i niepoprawnych synalzków, dzięki jedynie surowemu postępowaniu p. W., szkoły ukończył, i wyszedł, jak to mówią „na ludzi”.

W końcu obrońca zwraca baczną uwagę sądu na zaszczytną dla obwinionego, jako zdolnego pedagoga, opinię własnych jego kolegów, powołanych przed sąd w charakterze świadków; na wiele mówiący fakt, złożenia przez znaczniejszych mieszkańców Łodzi trzech tysięcy rubli kaucyi za obwinionego, i prosi, w imieniu dobra rodziców, w imieniu swych uczniów, którzy zaświadczyli przed sądem, iż nigdy niesprawiedliwie ich nie karał, w imieniu wreszcie tych, którzy dzięki jedynie jego surowości pokonczyli szkoły i stali się użytecznymi sobie i innym — o zupełne uniewinnienie oskarżonego.

Jakoż sąd, przechylając się na stronę wywodów obrońcy, po krótkiej naradzie obwinionego z pod wszelkiej odpowiedzialności prawnej uwolnił.

— **Teatr.** Dnia 14 b. m. ujrzelismy po raz pierwszy na tutejszej scenie „Chateau wsią,” sztukę w 5 obrazach ze śpiewami i tańcami, przerobioną przez Z. Mellerową i J.

K. Galasiewicza, z muzyką Z. Noskowskiego. Jeśli mamy wyznać otwarcie, to rozgłos, jaki poprzedził ten utwór bynajmniej nie dorównywa jego wartości: jest to, naszym zdaniem, prawdziwie „sezonowa” robota, obliczona jeno na efekt, a całą jej zaletą jest piękny język i piękna muzyka. Znużenie, jakie już w połowie sztuki tej owłada widzom, z powodu przeładowania jej od samego początku żywiołem dramatycznym, jest najlepszym dowodem słuszności naszego sądu. Niepomierne długa np. końcowa scena aktu drugiego (przekleństwo córki i śmierć Lepiuka) jest po prostu niemożliwą, że pominiemy wiele innych szczegółów, których rozbiór dla braku miejsca rzec się musimy. Wyobrażamy sobie, że dla artystów, utrzymanie się ciągle w tak wysokim nastroju dramatyczno-lyrycznym jest równie twarde orzechem do zgryzienia, jak dla widza wysłuchanie do końca całości fabuły. To też artyści nasi w głównych rolach wywiązali się ze swego zadania względnie dobrze: pani Dobrzycka jako Aza, a p. Dobrzański jako Tumry stanowili wyborną dwójkę namiętnych dzieci stepu, a panna Celińska jako Motruna i pan Gloger, poczciwy Janko, nader sympatyczne odtworzyli kreacje. Pan Halicki czynił co mógł; nie jego jednak wina, że nie stał się tak demonicznym, jakim Lepiuka chcieli mieć autorowie sztuki; zaiste, chcąc, aby charakter tego kmiccia przedstawił się widzom nie jako zagadka ale jako prawda psychiczna — potrzeba na to bardzo wielkiego artysty, któryby w nim potrafił naprawić niejedno, choćby nawet wbrew intencjom autorów.

Po powtórzeniu w niedzielę „Chaty za wsią” (przy niezupełnie pełnym teatrze, z powodu zbytniego podniesienia ceny miejsc) dnia 17 b. m. t. j. we wtorek wystawiono ulubioną naszej publiczności operetkę „Dzwony Kornewilskie,” w której mieliśmy sposobność ocenić, że siły wokalne towarzystwa wcale nie ustępują siłom jego dramatycznym. Primadonną operetki niezaprzeczenie jest pani Choźdźko-Zapolska, która w roli Germany dość znaczną ujawniła siłę i czystość swego sopranu, a wyrobioną i dobrą metodą zdradza wychowawicę warszawskiego konserwatorium; ona też właściwie powinna była śpiewać główną rolę Dziewanny, nie zaś panna Kwasińska, której sopran, acz wysoki i dzwiczny, niema i połowy tej siły, co pani Ch. Pan Czartoryski w roli Henryka de Cornelwil, przedstawił się nam i jako śpiewak-baryton i jako artysta bardzo sympatycznie, a to, że transponował trochę, wcale talentowi jego nie ubliża. Pan Spławiszewski jako tenor (w roli Jana Grenicheux) zbierał również zasłużone oklaski. Artysta ten znany już jest tutejszej publiczności z dość częstych dawniejszych swych występów.

We czwartek przedstawiono — na dochód świeżo poszkodowanej straży ogniowej z powodu pożaru szopy — komedję w 4-ach aktach Erckmana i Chatrian p. t. „Bracia Rantzau”.

— **Repertuar Teatru** na następny tydzień: *Cudzoziemiec*, komedya w 5 aktach Jerzego Ohnet’a — *Księżna Marta*, komedya w 5 aktach Sardou — *Pożycz mi swojej żony*, komedya w 2 aktach z francuzkiego — *Beben* operetka Offenbacha w 1-m akcie. — Nadto, wkrótce będzie wystawiona *Wesola Dwójka*, operetka w 4 aktach Millöckera.

— **Na zakupienie nowych rekwizytów** dla tutejszej straży ogniowej złożyli w ubiegłym tygodniu w naszej redakcyi: p. K. B. rs. 50, p. Żarski rs. 5.— Oprócz tego, na tenże sam cel, na ręce głównego Naczelnika tejże straży, pan Turczynowicz złożył rs. 10.

— **Wystawione na licytację** d. 19 b. m., za zaległość Tow. Kr. Z-go, dobra Huta Drewniana z powiatu radomkowskiego, nabył za rs. 30,000 p. Ludwik chüssler. Rozległość ich wynosi włók 31

morgów 19. Sprzedaż odbywała się przed tutejszym rejentem kancel. ziemiańskiej, Józefem Grabowskim.

— **Wypadek na linii dr. żel.** W dniu 17 lutego r. b., o godzinie 2 min. 40 po południu na linii dr. żel. w-w. zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Podczas skrzyżowania się dwóch pociągów pasażerskich № 3 i 4 na linii pomiędzy stacyjami Rogów i Koluszki wiorst 95, dozorca pieców wagonowych z pociągu № 4 Józef Kluczyński, przechodząc w trakcie jazdy z wagonu do wagonu upadł tak nieszczęśliwie, że dostał się na szyny, po których w tejże chwili przechodził pociąg № 3 i został przejechaany w połowie korpusu przez parochód i połowę pociągu, który następnie zatrzymał się na drodze około 10 minut, już tylko dla sprawdzenia faktu; zapobiedz bowiem wypadkowi było niemożliwym.

— **Osada Stryków** w powiecie Brzezińskim mimo przeznaczonej stałej pensyi rocznie rubli 600, doktora doczekać się nie może. Dziwne to zjawisko, w obec faktu, że w Warszawie i wogóle w miastach dużych, jest pod tym względem przepełnienie, że wielu młodych medyków vegetuje tam po prostu w biedzie.

Stryków niezależnie od pensyi, zapewnić jest w stanie liczną a korzystną praktykę w okolicy ludniej i zamożnej, a apteka znajduje się w miejscu. Brak też jest zupełny wykwalifikowanych akuserek, miejsce których zastępują tak zwane babki a właściwie baby-znachorki, narażające nieraz nieszczęśliwe pacjentki na utratę życia.

— **Towarzystwo Kredytowe Ziemskie**, na rok bieżący, na równi z innymi instytucjami finansowymi prywatnymi, pociągnięte zostało po raz pierwszy do wnoszenia opłaty gildyjnej w najwyższym rozmiarze, to jest, do wykupienia patentu pierwszego stopnia, za który opłacać ma rs. 700 rocznie.

— **Z powodu** nadużycia popełnionego w Łodzi przez dyjetaryjusza K. minister finansów polecił bankowi polskiemu, ażeby wszystkim zarządzającym oddziałami banku, nakazał przyjmować należność za weksle i spłatę częściową tychże, tylko od samych interesantów t. j. wystawców lub żyrantów bez żadnego pośrednictwa osób trzecich, pod surową odpowiedzialnością w razie niespełnienia tego polecenia.

— **„Dziennik Łódzki”** z przyczyn — jak donosi — niezależnych od Redakcyi, chwilowo zawiesił swe wydawnictwo. W odezwie, umieszczonej na czele ostatniego numeru, redakcyja oświadcza, iż przeszkody, tamujące regularne wychodzenie pisma wkrótce usunięte zostaną, a brakujące numery zastąpione będą dodatkami.

— **Notarijat.** Sąd okręgowy kaliski wzywa osoby życzące sobie objąć obowiązki notaryjusza przy kancelaryj hypotecznej sędziego pokoju miasta Sieradza, w osadzie Szadek, o zgłoszenie się do tegoż sądu w przeciągu miesiąca od daty ogłoszenia niniejszego, t. j. od 7 lutego r. b

— **Mapa lasów i sadów prywatnych** w powiatach Król. Polskiego, oraz podobna mapa gubernij, przy porównaniu ze stanem zalesienia w r. 1856-ym, opuści prasę około połowy b. m. Mapa powyższa będzie kolorowana i dołączoną, jako nadzwyczajny dodatek, do czasopisma „Inżynierji i budownictwa”.

— **Sprawozdanie z czynności** taniej kuchni za czas od dnia 19 (31) grud. 1884 r. do 20 stycz. (1 lut.) 1885 r.

D O C H Ó D.

| | |
|---|--------|
| 1. Fundusz pozostały z urządzonych na ten cel wieczorów | rs. k. |
| 2. Od JW. Gubernatora | 246 96 |
| 3. Zebrano przez pp. dyżurne | 20 — |
| | 543 15 |

| | |
|---|-------------|
| 4. Od W-go Burghardt | 100 — |
| 5. Z naddatków | 42 01 |
| 6. Zamiast noworocznych powinszowań | 11 50 |
| 7. Ofiary w produktach, drzewie i węgla | 90 46 |
| 8. Ze sprzedaży 3055 porcyi zup | 296 52 |
| Ze sprzedaży 2073 porcyi jarzyn | |
| Ze sprzedaży 1867 porcyi mięsa | |
| Ze sprzedaży 143 por. chleba, śledzi i flaków | |
| 9. Wartość wydanych służbie: 209 porcyi zup | 26 69 |
| 203 „ mięsa | |
| 206 „ jarzyn | |
| 10. Z wykupionych naprzód obiadów | 3 55 |
| 11. Ze sprzedaży marek | 85 32 1/2 |
| Wogóle | 1466 16 1/2 |

R O Z C H Ó D.

| | |
|--|------------|
| 1. Na postawienie nowej kuchni, urządzenie lokalu, jak również na osuszenie tegoż | 285 29 |
| 2. Na kupno sprzętów i naczyń kuchennych i stołowych, jak i na umeblowanie taniej kuchni | 284 10 1/2 |
| 3. Na kupno produktów wydano | 298 30 |
| 4. Zużytkowan ^o ofiarowanych produktów, za | 52 82 |
| 5. Wydano na służbę, opał, światło, i t.p. oprócz zasług służbie | 71 75 |
| Razem | 992 26 1/2 |
| A zatem stan kasy | 473 90 |
| Z tego w gotowiznie | 449 63 |
| „ markami | 24 27 |
| Oprócz tego inwentarz kupiony i ofiarowany wartości | 433 86 |
| Pozostałe produkty surowe, wartości | 52 01 |
| Z powyższego rachunku okazuje się, że w miesiącu styczniu, wyłączenie na przygotowanie jedzenia wydano rs. 351 kop. 12, do czego dodawszy wydatki na służbę, opał i światło w ilości rs. 71 kop. 75 i pensyję służbie jeszcze nie wypłaconą, wynoszącą rs. 12 kop. 66, ogół wydatków na przygotowanie jedzenia, nie licząc lokalu i wartości zużytkowania naczyń i utensyliów wyniesie | 435 53 |
| Odliczając od tego remanent surowych produktów, wartości | 52 01 |
| Rzeczywisty wydatek wyniesie | 383 52 |
| A że dochód ze sprzedaży jada przyniósł | 323 21 |
| Zatem tania kuchnia poniosła straty | 60 31 |

Jakkolwiek rezultat taki odpowiada celowi założenia taniej kuchni, jednakowoż, pragnąc zrównoważyć, a przynajmniej ograniczyć straty do minimum, Komitet taniej kuchni zamierzył wydawać jeszcze jeden miesiąc, sposobem próby, całe obiady po cenie dotychczasowej; — gdyby zaś i następny miesiąc przyniósł podobny rezultat, podwyższyć cenę całych obiadów do 15 k. z pozostawieniem jednakże ceny zup i jarzyn dla ubogich po 3 kop. za porcyję.

Członkowie Komitetu Taniej Kuchni:
*J. Kleszczewska. W. J. Kański.
 J. Mianowska. Gustowski.
 J. Olcwiński.*

— **Posiedzenie członków kasy** zaliczkowo-wkładowej. Dnia 30 stycznia r. b. odbyło się w gmachu izby skarbowej, pod prezydencją p. prezesa tejże A. Stange, posiedzenie członków kasy zaliczkowo-wkładowej. Ze złożonego przez zarząd kasy sprawozdania, okazało się, że do 1-go stycznia

1884 r. uczestniczących w kasie było 58 osób mających kapitału. od którego to kapitału, do dnia 1 stycznia, procent za rok 1884 uczynił 499 80

oprócz tego w depozycie kasy znajdowało się: papierów procentowych, złożonych na zabezpieczenie wziętych pożyczek 1000 —
i pieniędzy należnych kopalni za węgiel dostarczony członkom w roku 1883 457 20

Razem w dniu 1 stycznia 1884 r. było w kasie 6968 84.

W ciągu 1884 r. przybyło stowarzyszonych 18, przez co ilość wszystkich uczestników w roku 1884 wynosiła 76 osób, od których wpłynęło obowiązkowych składek 2459 28
od obrotów kapitału w 1884 r. procenty uczyniły. 558 8
złożono do kasy papierów wartościowych na pewność wydanych pożyczek 100 —
na rachunek kasy stowarzyszonych otrzymano od kopalni 19 wagonów węgla, wartość którego wynosi 533 55

od b. członka kasy wpłynęło tytułem zwrotu pożyczki zapłaconej przez poręczycieli 3 20

A zatem z końcem 1884 r. powinno być było w kasie 10622 95

Ze zaś z tej sumy w ciągu r. 1884 przy obrotach kasy niezależnie od wypłaconych pożyczek, wynoszących 12157 rs., były poczynione następujące wydatki:

1) wynagrodzenie kasyerowi i buchalterowi, za czynności r. 1883 140 —

2) kopalni węgla należność za 1883 r. 457 20

3) zwrócono i przelano na poczet długów składki 16 b. członków kasy. 1139 60

4) za asekurację biletu pożyczki premiowej. 1 10

5) zwrócono złożone do depozytu papiery wartościowe 1000 —

6) zwrócono poręczycielom zapłacony przez nich za b. członka kasy dług 3 20

razem wydatkowano 2741 10.

Zatem w dniu 1 stycznia 1885 pozostawało w kasie. 7881 85.

a mianowicie:

a) kapitał wkładowy 60 stowarzyszonych ; 6762 10

procenta od obrotów kasy. 486 20

kaucyjna na pewność pożyczki. 100 —

i należność kopalni za węgiel z r. 1884 533 55.

Razem jak wyżej. 7881 85

Sumę tę stanowią:

1) pożyczki 6174 41

2) niespłacona należność za węgiel. 184 95

3) zaforszowana kasyerowi suma na kupno herbaty 100 —

4) papiery wartościowe 334 95

5) gotowizna. 1087 54

Razem jak wyżej. 7881 85.

Uwaga. Otrzymane w roku 1884 procenty powstały:

1) z odsetek od pożyczek 426 16

2) z rabatu herbaty 91 50

3) z rabatu otrzymanego od dystrybutora na zakupionym przez członków tytoniu 35 42

4) kupony od biletu pożyczki premijowej 5 —

Razem 558 8.

Suma ta stanowi 8 $\frac{3}{4}$ % od kapitałów wkładowych.

Po zatwierdzeniu przez ogólne zebranie sprawozdania za rok ubiegły 1884 i przyznaniu kasyerowi i buchalterowi wynagrodzenia, członkowie kasy wybrali na rok bie-

żący zarząd kasy, złożony z osób następujących: Pawła Dmitrjew jako przewodniczącego, Nikodema Neuberka jako kasyjera i Franciszka Olewińskiego jako buchaltera; do komisji zaś rewizyjnej powołani zostali: Wilhelm York, Mikołaj baron Tyzenhausen i Stanisław Degen.

— **Korespondent nasz** z Warszawy, donosi nam co następuje: Modrzejevska nas opuściła, udając się do Krakowa. Oddawna teatr warszawski nie pamięta tak pełnego zapalu i uniesienia przyjęcia artystki. Starym zwolennikom sceny naszej, przypomniły się świetne czasy Leduchowskiej, które niewiele już z żyjących pomiędzy nami pamięta.

Wkrótce otwartą zostanie pierwsza w swoim rodzaju u nas wystawa kucharska. O jej urzędzeniu nie zaniedbam donieść.

Na wystawie Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych zwracają przedewszystkiem uwagę: „Huss przed sądem”, ogromny obraz Wacława Brozika, którego czeskim Matejką nazwałby można; „Gładjator” (retiarus) pyszna rzeźba z brązu Piusa Welonskiego i rzeźba konkursowa Wojdygi „Jan Kochanowski” wielkości naturalnej. Piękny, pełen ruchu i życia jest obraz Romana Szwojnickiego zatytułowany „Kaptowanie przed sejmikiem”.

„Potop” Sienkiewicza, staje się coraz bardziej zajmującym. Bardzo wiele osób w Warszawie rozkoszuje się tą znakomitą powieścią. Liczba prenumeratorów „Słowa” powiększyła się znacznie.

Znany nasz rzeźbiarz p. Jan Kryński, rozpoczął już robotę pomnika dla Sarbiewskiego. Popiersie znakomitego męża, wymodelowane z gipsu, jest już gotowe. Tenże sam rzeźbiarz, przesłał do Krakowa znakomity pomysł i wykonaniem projekt pomnika dla Mickiewicza.

Karnawał tegoroczny, odznaczył się niezwykłą liczbą małżeństw, zawartych w Warszawie. Kandydaci do stanu małżeńskiego, liczą widać na lepsze czasy, których zapowiedź w nieco ożywiający się handlu i przemysle widzieć już można.

— **Dzienniki galicyjskie** powtórzyły w swych łamach sprawozdanie sekretarza *Alliance Israélite*, który z polecenia tego stowarzyszenia zwiadał szkoły wyznaniowe żydowskie w Galicji t. z. „chej-dery”. Obraz, jaki kreśli jest prawdziwie okropny: „Chejder jest gniazdem nędzy. Więcej niż połowa żydowskiej młodzieży w Galicji katolicy się tu umysłowo i cielesnie i czyni niedolną do pracy — według obmyślanego planu. Z czwartym a najpóźniej piątym rokiem życia, posyła się dziecko do tego zakładu torturowego, gdzie je przez 16 godzin dziennie, a nawet więcej, męczą jednym i tym samym przedmiotem, w atmosferze przechodzącej wszelkie wyobrażenia. Zwiadający taki cheidarim doznaje niewymownego smutku. Osmio—lub dziesięcioletnich chłopców męczą talnudytycznymi traktatami „Gitin” lub „Ketnab”. W ciasnej, brudnej hermetycznie zamkniętej norze, w której powietrze jest do najwyższego stopnia zepszczone, siedzi lub stoi, o ile na to pozwalają chwilewe ławeczki, 60 lub 80 dzieci, podzielonych na 4 grupy, z których każdą z osobna obrabia melamed (nauczyciel). Za odemknięciem drzwi przeraża nas wrzask okropny, zupełnie niezrozumiały. Nauczyciele i uczniowie przedstawiają jednaki widok niesłychanego opuszczenia, z zakasaniem rękawami od koszuli, w podartej odzieży i prawie zawsze boso. Na twarzach maluje się niedostatek. Do wyjątków należy twarz rnmiana o zdrowej cerze. Nauczyciele są uzbrojeni w pretę i fajki. Zagłuszają swoim wrzaskiem piskliwym i napędniają powietrze cuchnącym dymem. Jakby niedosyć na tem, z przyległej, sąsiedniej kuchni wdziera się obrzydliwa para, a w kuchni tej siedzi — horribile dictu — gromada dziewcząt drobnych przy nauczce hebrajszczyzny. W kuchni bowiem jest szkoła żeńska.”

W słowach powyższych niema przesady, ani uprzedzenia; pisze to *zyd* o swoich współwyznawcach, a my z naozycznego przekonania się wszystko co do jofy stwierdzamy. Wobec takiego stanu rzeczy, wobec zaistniałego uporu, z jakim ciemne masy żydostwa usuwają się od reformy organizacji chejderów i wogóle ob wszelkiego postępu, zgadzamy się na zdanie *Kuryjera lwowskiego*, że: „władze powinny z całą energią przystąpić do zamykania wszystkich prywatnych szkół żydowskich, które nie mają wykwalifikowanych nauczycieli, a pomieszczeniem swoim nie odpowiadają pojęciom o higienie.”

(„Prawda”).

OLSZTYN

Wspomnienie z podróży po kraju
przez
Edmunda Dylewskiego.

(Dalszy ciąg—patrz № 7).

IV.

Wyprawa na miasto po konie. — Wpływ czarnych oczu na wygodę w podróży. — Poranek w mieście i w polu. — Żła droga. — Las. — Zamek—zdaleka. — Olsztyn w dolinie. — Zajazd Brylewskiego. — Zwiędzenie ruin. — Baszty, mieszkanie pustelnika i loch Macka. — Dyjabel w zamku. — Widok z góry na miasto i okolice. — Karliński—cesarzem.

Przybywszy w kilku do Częstochowy, postanowiliśmy zwiędzić o 13 wiorst od niej odległy Olsztyn. Pogodę mieliśmy ładną; było to bowiem w połowie lipca. Mogliśmy przeto odbyć wycieczkę pieszo, że jednak uprzedzono nas, iż naokół są piaski, i okolica w niebardzo piękne obfituje widoki, wzięwszy więc na uwagę, iż zmęczeni pieszą podróżą, nie mielibyśmy sił do dokładniejszego obejrzenia Olsztyna, zdecydowaliśmy puścić się doń koni. W tem sąk właśnie: jak tu w mało znanem sobie mieście wyszukać furmankę. Częstochowa jednak z pomiędzy wielu miast prowincjonalnych tą wyróżnia się dogodnością, że posiada dorozki. Sądząc więc, że częstochowscy dorozkarze mniej są wymagający niż warszawscy, do jednego z nich udałem się z zapytaniem, coby chciał za jazdę do Olsztyna. Przekonałem się jednak, iż drożyzna wzrasta w prostym stosunku do kwadratów przestrzeni, zażądał bowiem odemnie rs. 7. Gdy mu zaproponowałem rubli cztery, takim wzrokiem bazyliuszka mię przeszył, iż sądziłem, że mam przed sobą warszawskiego automekona z placu Teatralnego; obrzuciwszy mię pogardliwym spojrzeniem, odjechał, nie racząc nawet odpowiedzieć na mą propozycję. Skonfundowany w ten sposób, nie śmiałem do innych jego towarzyszy pukać i udałem się na pocztę. A znając tradycyjną szybkość pocztowych biegunów, postanowiłem się targować do upadłego. Cóż, kiedy i tu licho się wkradło: tylko że tym razem nie w postacie straszliwego lyka częstochowskiego, lecz jakiejś nudobnej i miłutkiej przedstawicielki płci pięknej. Otóż, chociaż podług taksy mniej się należało, gdy spojrzawszy na mnie czarnymi ślipkami, zażądała rubli trzech, stopniałem jak wosk, i pary z ust nie puściwszy, zapłaciłem żadaną sumę. Zamówiwszy ekstrapocztę na godzinę piątą rano na dzień następny, i otrzymawszy zapewnienie, że dostanę dobre konie, złożyłem hold pięknym oczom nadobnej ich właścicielki, oddawszy wdzięczny jej ukłon—i ruszyłem na miasto.

Nazajutrz rano o godz. 5-tej trąbka pocztarska zbudziła mię ze snu. Wyglądam oknem—stoi jakaś bryczka; ubieram się, wychodzę przed bramę.

— Gdzie ekstrapocztą?—pytam.

— A ino!—odpowiada mi jakiś wiśniak, pokazując bryczkę.

Podchodzę, przyglądam się... O zdradliwe oczy! szeptę w duchu, i wierz tu kobiecie! Wyobraźcie sobie brykę o dwóch snopkach słomy, z których ten, co ma siedzenie dla jadącego stanowią, derą jakąś przykryty; na przednim snopku usadowił się woźnica w długich butach, wątpliwej barwy pantalionach i czerwonej mocno wyszarżanej u dołu kamizelece; przewiesił sobie przez ramię na grubym powrozie kawałek fantastycznie w różne strony powyginanej rurki mosiężnej, a konie—niech ich litościwa Ceres ma w swej owsianej opiece—z pozapadanymi bokami lby pospuszczały ku ziemi i drzemia.

— Dawno były w drodze?—pytam.

— Dyć w noey wele drugiej wróciły, — odpowiada właściciel przewieszzonej przez ramię rurki.

— A pójdą też rażno? — zapytuję powtórnie.

— Co nie mają iść! — brzmi odpowiedź — bo to im pierszyna?

Oj! widać, że nie pierszyna, bo strasznie lby chyła ku ziemi i w głębokiej toną zadumnie. Siadamy tedy na ową „ekstrapocztę” i wio... do Olsztyna!

Na nowej Częstochowie słabe jeszcze oznaki są życia. Wyjeżdżamy na kresy miasta: tu już ludność robocza w ruchu, fabryki dymią, wozy z piaskiem, cegłą i kamieniem wapiennym ciągną w miasto, włóscijanie jadą na targ, zdala dolatuje odgłos wartkich kół młyna wodnego, powietrze świeże i przyjemne. Wjeżdżamy w pole: po obu stronach szosy stoją wielkie piece do wypalania wapienia; stopy tego kamienia zalegają znaczne okolo pieców przetrzenie, szosa nawet wapieniem ubita. Koniom naszym nie spieszo, woźnicy również się nie spieszą — drzemają konie, on drzemie, czasem tylko pod wpływem powiewu świeżego powietrza nabierze energii, zbudzi się, wywinie batem, krzyknie: wio! hessal konie szarpną sił ostatkiem, przyspieszą cokolwiek, by po chwili znów ustać i w drzemkę wraz z woźnicą się pogrążyć. Przejeżdżamy przez Wartę: po obu stronach drogi łąki, usłane kwieciami, aromatyczna woń ziela polnego napętnia powietrze, na sinym niebios lazurze zawisł skowronek i pieśń poranną srebrzystym nuci głosikiem, natura budzi się z uspienia, słonko wznosi się na widnokręgu. Z traktu głównego zjeżdżamy na boczny: tu wyboje i dziury na pół łokcia głębokości; wapien, piaskowiec i krzemień składają się na grunt kamienisty, bryczka co chwila podskakuje lub zagłębia się w dziury, raz po raz chwytaś za wasąg, by nie wypaść na zewnątrz. Nareszcie sprykrzyła ci się ta jazda, a widząc, że wyboje już nie tak często na drodze się trafiają, wołasz na woźnicę:

— Zacinaj konie i jedź prędzej!

— Ano, kajze bede jechoł, kiej piachy.

Ma rację — jak rzucisz okiem, piasek i piasek — istna Sachara, zdaleka tylko widzisz las sosnowy. Wjeżdżamy wewnątrz nareszcie: chojaki, jodły i sosny, jak rój pszczół, rozbiegły się po obu stronach wąskiej drożyny; inne wybiegły po nad samą drożyną i ciekawie przyglądają się przybyszom, co ich spokój zamąć tu przyszli — a może sądziły, że to jaki żydek, rejentalnym uzbrojony na nich wyrokiem śmierci, przybywa z siekierą wykonywać go. Lecz nie, przekonały się, że nie żywimy wrogich ku nim zamiarów, bo oto rozstępują się, wolną dając nam drogę, i wyjeżdżamy na gdzieniedzie tylko wysokimi sosnami porosły zagajnik. Rzucasz spojrzenie w dal i spostrzegasz ruiny zamczyska, w ciemnych na widnokręgu zarysowujące się barwach. Okolica pusta i piaszczysta; sterczące mury zamku stanowią jedyną widoku okrasę. Wśród tej jakoby wyludnionej pustyni, ruiny te dziwny dla wędrowca przedstawiają widok: mimowoli przecierasz oczy raz i drugi, pytając się w duchu, czy nie jesteś ofarą optycznego złudzenia; zamek jednak stoi przed tobą, jak na dłoni, pragniesz więc jaknajprędzej zbliżyć się do niego. Zapatrzone w górę nie czujesz, jak konie coraz więcej zjeżdżają w dół; wreszcie zwiększająca się spadzistość zmusza cię oderwać oczy od zamku i pomyśleć o wygodniejszym usadowieniu się na bryczce, a gdy zabezpieczywszy się od upadku, znów żadne widoku o czy zwracasz ku zamkowi, nie prócz wysokiej wyniosłości przed sobą nie widzisz. Znajdujesz się w dolinie między dwiema wyniosłościami; rozglądasz się po bokach i spostrzegasz ślady siedlisk ludzkich — pola obsiane; licho jakoś rośnie tu zboże, bo ziemia piaszczysta; na dobrą sprawę możnaby porachować kłosa. A ot i pastuch pędzi bydło na paszę; krowy chude, zbiedzone, znać niezbyt chojną karmione ręką; między stadem snuje się znaczna ilość owiec i kóz, górzystym okolicom właściwych. Wyjeżdżasz nareszcie na wierzch wyniosłości i tu

u stóp jej widzisz rozrzucone miasto, a za niem na znacznym wzniesieniu zamek.

Zjeżdżamy w dolinę... Jak sznur dzikich gęsi, rozbiegły się domki szeroko po równinie; sznur ten barwy szarej zda się nie mieć początku ni końca, rozrasta się w środku, maleje ku końcom i niknie wśród drzew i krzewów; po nad nim majestatycznie sterczy ruina zamczyska, a tuż obok starymi otoczony lipami wiejski się wznosi kościółek. Zagłębiając się w miasteczko i cały widok niknie nam z przed oczu... Kręta uliczka biegnie wężykiem w głąb obszernego, czworokąt tworzącego rynku; domy mieszkalne dziwną przedstawiają mieszanie: obok chałupy słomą krytej widać porządny pod gontami wystawiony domek, a są tu i takie, co swą niewybredną wprawdzie strukturą koniec wieku XVIII przypominają. Po całym zewnętrznym wyglądzie osady znacznie, iż dawny żywioł mieszczkański zacięciem tu walczy z wiejskim, napływowym: stare domostwa jeszcze pragną dawny splendor i nazwisko miasta utrzymać, ruina zamkowa otacza je aureolą dziejową, istnienie wreszcie rynku wskazuje, iż Olsztyn nie wsią był niegdys; cóż, kiedy tuż obok tego spruchniałego od starości dworka z filarkami, figuruje nowy przybysz wiejski — zwykły czworak chłopski pod słomą; brak bruku, łamanie się linii ulic, nieprawidłowy rozkład domostw psują rygor miejski, gwałtem wieś czyniąc z Olsztyna.

Wysiadamy przed karczmą, która zarazem i zajazd stanowi; wprowadzają nas do porządnej izby. — O głodzie wyjechawszy z Częstochowy, zapytujemy o śniadanie — i o dziwo! dostajemy kawy; mocno ją wprawdzie czuć cykoryją, kontent jednak jesteś i z tego, tembardziej, że rzadna gospośnia przynosi ci wyborny chleb wiejski, masło i świeże mleko do którego i warszawska nie umywała się śmietanka. Posiliwszy się, wychodzisz przed karczmę; zamek tuż przed tobą na górze; kilku ludzi z miasteczka, zwabionych twem przybyciem, oczekuje na cię, ofiarując się za przewodników; wybierasz jakiegoś sprytnego młodego mieszcucha i starszuka wieśniaka — chodzącą Olsztyna tradycję — i udajesz się przedewszystkiem na zamek.

Na znacznej, z dwóch skał złożonej wyniosłości, stoją pamiątkowe ruiny. Jakże wspaniały i posępny zarazem przedstawiają widok! Wszak niegdys zamek ten wrzał życiem, zasłaniał kamiennymi pierściami swemi ziemię macierzystą; gromowładne mury i baszty jego dawały dzielny nieprzyjacielowi odpór; toż to świadecze surowej Kazimierza sprawiedliwości, wojowniczych Jagielly zapasów i bohaterkiej Karlińskiego obrony — a dziś, z kąd niegdys dolatywał zwycięzki dźwięk surmy bojowej, rozlega się żalony i złowrogi głos na baszcie osiadłego poszczyka. Ponury spokój panuje dokoła. Grobowa ta cisza budzi w tobie przerażenie; boisz się, sam nie wiedząc czego; lękasz się kroku dalej postąpić, bo czujesz, że po poświęconej krwią stąpasz ziemi; wahaś się, ażali masz prawo zakłócać spokój tych, co na miejscach tych w śnie wiecznym legli; wstydzisz się nieledwie ciekawości, która cię tu przywiodła. Tak tu cicho, tak spokojnie, tak grobowa, iż zda ci się, jakby każda trawka, każdy odłamek muru śmiercią oddychał, bo śmierć i zagłada z każdego wygląda tu zakątka... Mury, spajające dwie przedzielone kotliną skały, opadły, a rozrzucone odłamki cegły i kamienia skalnego utrudniają wejście na i tak już dość spadzistą górę. Po prawej stronie stoi odosobniona baszta — u dołu okrągła z wapienia, u góry w osmiokąt z cegły budowana. W kotlinie, dzielącej obiedwie skały, kamieniem skalnym porosłej, widzisz wykuty pokój; prowadzą doń z góry krętą schodki kamienne, jedna ze ścian zagłębia się nieco, formując coś w rodzaju łóża. Miał tu przed laty swe mieszkanko pustelnik, którego dziad mego przewodnika pa-

miętał i o nim wnukowi swemu opowiadał. Z kąd przybył, co był za jeden, nikt nie wiedział; żył w odosobnieniu, od ludzi stronął, biednych tylko wspomagał. Tak pędził żywot, gdy razu jednego znaleziono go tu umarłego z krzyżem w ręku. Może to jakiś rozbiitek z epoki Dąbrowskiego i księcia Józefa, starzec, który wołał z duchami obcować i o nieziszczonych z nimi rozmyślać nadziejach, jak na współczesną patrzeć rzeczywistość.

Wydostajesz się z kotliny i przechodzisz na drugą skałę. Tu również króluje wysoka wieża czworokątna, z kamienia wapiennego cała; do niej przytyka kilka krzepko jeszcze na opoce stojących ścian, a na nich widoczne są ślady dawnych pokoi. Wieża z wierzchu już walić się zaczyna, gruzy spadają wewnątrz, zasypując wejście. Schyliwszy się, wchodzisz w głąb; padające z góry promienie światła rozpraszają nieco mrok, jaki tu panuje. Znajdujesz się w miejscu, gdzie konał Borkowicz, a nieprzyjemna woń stęchlizny, jaka napętnia wnętrze i ponury półmrok tak działają na twą wyobraźnię, iż zda ci się, jakbyś widział straszne oblicze Maćka, groźnie mierzące cię oczyma, takie, jak je Matejko na płótnie przedstawił, z tą różnicą, iż w tem fantastycznym otoczeniu już nie mistrzowski obraz, lecz rzeczywistość zda się oglądasz.

Opuszczasz w półocieniu pogrążony loch, a zacerpnawszy świeżego powietrza, mierzysz wzrokiem wieżę z dołu: okienka, strzelnice, ba! nawet dwie znacznej wielkości kule działowe, wbite w mur, spostrzegasz. Szwedów zapewne pamiętają jeszcze! Z wyniosłości przy wieży oglądasz ściany i ślady dawnych pokoi; na jednej ze ścian, na wysokości półtora piętrowa od ziemi, pokazuje ci przewodnik dyjabła. Z kąd on się tu wziął, trudno dociec, bo do miejsca, na którym namalowany, znikąd przystępu nie masz. U dołu ściany rumowisko. Zapytany, co by ono znaczyło, przewodnik opowiada, iż — „razu jednego w Matkę Boską przyjechały niemce, zaczęły kopać pod tą ścianą i dokopały się do jakisik dźwi zielanych, ale kiej wzięno na nich cosik z góry kaminiami ciepać, tak musieli uciekać” — i drzwi żelazne odtąd przysypane gruzem... Polujący w tych okolicach myśliwi zrobili sobie z dyjabła igraszkę: każdy z nich wdarłszy się na górę, ma sobie za obowiązek chociaż jednym nabojem poczęstować „czarne dyjabła”, skutkiem czego nietylko wizerunek dyjabelski, ale i ściana mocno szwankuje.

Obejrzawszy wszystko dokładnie, obchodzisz raz jeszcze zamek dokoła. Skały wszad go otaczają, a tak wygodnie się ułożyły, jakby sama natura za fundament dla murów je przeznaczyła, każda bowiem ściana, każda wieża na podstawie skalnej spoczywa.

Wracasz ku pierwszej górze i rzucasz ztąd spojrzenie na okolice. Szczególniej ładny widok przedstawia Olsztyn i otaczające go sady i niwy: miasto, które przedtem, gdy ulice jego zwiedzałeś, zdało ci się brudnym, nieforemnym i bezkształtnym, teraz otoczone krzewami i kwieciami wydaje ci się maleńkiem pięciokątnym: nieznaczną równość ulic i ich brudu, owszem, wszystko tworzy harmonijną całość, wygląda, jak wielka kwiatem i zieleńm ustrojona fabryka, w której, jak pszczołki, skrzętnie uwijają się ludzie; nie widzisz ich spracowanych dłoni i zgnętych trudem twarzy, wszystko wydaje ci się miłym, pięknym i oku przyjemnym. A cała ta panorama, na świetnym, w różne barwy wolą Bożą i pracę ludzką wyrobionym dywanie spoczywa: zamiast żyta, kapusty, kartofli i wiśni, kolory zielony, żółty, niebieski, czerwony, wraz z najróżnorodniejszymi ich odsieniami, składają się na przepyszny wzorzysty kobierzec. A ileż to pracy, krwawego potu, a może i lez niekiedy kosztować on musiał, zanim do takiej przyszedł piękności!

W inną wzrok kierujesz stronę i widzisz, że górę zamkową ze wszech stron podobnie otaczają skały. Przewodnik dyktuje ci ich nazwiska: Cegielnia, Ostrówek, Brodła, Ostrogórka, Skalki, małe i duże Towarnie bliżej miasta, a dalej Ostrówek bliższy, Lipówki bliższe, Góry i Sokole. Skały te wspaniałą wraz z zamkiem tworzą całość: to jakby podrzędne forty głównej warowni, to placówki ostrzegające, że w centrum ich większe stoją siły. Wzrok twój błądzi po okolicy, i ot tam, na sienie widnokregu dali zatrzymał się na jakiejś wieży—to wieża Częstochowskiego Panny Maryi kościoła, widna z góry zamkowej dokładnie.

Napatrzywszy się do syta, uczuwasz zmęczenie, długiem spowodowane chodzeniem; siadasz więc na chwilę przy wieży, a ciekaw, czy też jakieś podania o zamku między ludem miejscowym nie krążą, zapytujesz o to przewodnika; żadnych jednak objaśnień w tym względzie dać ci nie może.

— A wiesz też—pytam—kto tu mieszkał?

— Ano, cysarz — odpowiada.

— Jaki cesarz?

— O, bodajecie, zabacyłem, jak jego przezwisko. Wojtek!—zapytuje małego chłopca, co nam niósł rzeczy—nie wis ino?

— Dyc ojcowie gadali, co mu było Karliński.

— A któż wam powiedział, że Karliński był cesarzem?—pytam powtórnie.

— A to, proś wielmożnego pana—odparł, po namyśle—widzi mi się, co ucyciel we skółce tak gadał.

A gdym zaczął opowiadać im o słynnej Karlińskiego obronie, trzech prostacy, rozdziałowi usta i podparli brody rękami, słuchali z zajęciem.

— Toście wy o tem nie słyszeli?—pytam, skończywszy opowieść.

— A zkąd by ta, proś wielmożnego pana, człowiek o tem wiedział—odparł z rezygnacją.

Prawdę rzekł; zkąd prosty człowiek czegoś nauczyć się może, jeśli mądrzejszy go nie oświeci. Są przecież ludzie dobrej woli, a w niedalekiej ztąd Częstochowie tacy

nawet, co piórem swem po szerokim zasłynie świecie, a żaden z nich nie pokusił się o napisanie niewielkiej choćby o Olsztynie broszurki, któraby w popularnej formie związane z nim dziejowe wyłożyła wspomnienia. Możeby wtedy chłopiec Olsztyński wiedział, że Karliński nie był cesarzem, a możeby i język, wychodzący z ust jego, był wtedy wolnym od cudzoziemskich naleciałości. Literatura ludowa najmniej u nas posiada pracowników. Pod tym względem inteligencja rosyjska kolącym w oczy świeci nam przykładem, z zamilowaniem uprawiając tak zaniedbany u nas dział piśmiennictwa.

Pod wrażeniem tych myśli przerywasz chwilowy wypoczynek, a opuszczając zamek, zstępujesz z góry ku miastu...

(d. c. n.)

Logogryf 16.

ulożył S. J.

Ze zgłosek: cho, cja, do, e, en, ga, gham, i, i, ka, ka, kill, la, lej, lek, mar, mie, ne, nok, not, o, o, ref, ro, rou, se, skop, szyh, ta, tin, wicz, wo, zba,—ulożyć 12 wyrazów znaczenie których:

1. Narzędzie optyczne, używane w technice, 2. Miasto nadmorskie w Belgii, 3. Miasto we Francji, 4. Handlowe miasteczko w ks. poznańskim, 5. Wybór naczelnika kraju, 6. Hrabstwo w Anglii, 7. Nazwa, nadawana przy chrzcie, 8. Literat polski, 9. Miejscowość pod Warszawą znana w historii, 10. Dopływ Dunaju, 11. Miasto w Szkocji, 12. Wyspa grecka.

Początkowe litery tych wyrazów ułożą nam nazwisko jednego z najslawniejszych powieściopisarzy polskich,—końcówce zaś tytuł jednego z utworów jego.

Rozwiązanie logogryfu № 15.

1. Gad, 2. Domino, 3. Zagrzeb, 4. Imbir, 5. Etruskowie, 6. Zwinięród, 7. Łopata, 8. Elwell, 9. Pomorze, 10. Rozehodnik, 11. Złoto, 12. Ypres, 13. Prynypał, 14. Apeniny, 15. Dmuchowiec, 16. Kalimach, 17. Irena, 18. Trojęś, 19. Ameryka, 20. Mewzel, 21. Pabjaniec, 22. Rozkaz, 23. Zapal, 24. Yonge, 25. Jeniej, 26. Aglae, 27. Cyprys, 28. Irtysz, 29. Ethiopia, 30. Lowerz, 31. Ramie, 32. Zytryd, 33. Armenia, 34. Daniel, 35. Kinoskephale, 36. I!

GDZIE ZNIE PRZYPADKI, TAM PRZYJACIEL
RZADKI. — DOBRE DALEKO SLYCHAĆ, ALE
ZŁE JESZCZE DALEJ.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** podaje do wiadomości, iż do kasy Towarzystwa wpłynęły następujące składki i ofiary na budowę domu dla wystawy Towarzystwa, za czas od 13 lipca r. z. do 1 lutego r. b., a mianowicie: Od zgrupowania pp. Kuśnierzy w Warszawie rs. 34, od zgrupowania pp. Kapeluszników w Warszawie rs. 11 kop. 50, od zgrupowania pp. Felcezerów w Warszawie rs. 20, od zgrupowania pp. Jubilerów i Złotników w Warszawie rs. 3, od zgrupowania pp. Stolarzy w Warszawie rs. 2 kop. 10, od zgrupowania pp. Giserów w Warszawie rs. 2 kop. 30, od zgrupowania pp. Introligatorów w Warszawie rs. 19, od zgrupowania pp. Brązowników w Warszawie rs. 41, od zgrupowania pp. Młynarzy w Warszawie rs. 1, od zgrupowania pp. Tokarzy w Warszawie rs. 7 kop. 10, od zgrupowania pp. Krawców w Warszawie rs. 7 kop. 50; za pośrednictwem Redakcyi „Biesiady Literackiej” rs. 3, p. Antoniego Zaborskiego w Warszawie rs. 4, p. Romana Szwojnickiego w Warszawie rs. 8, p. Karola Makowskiego w Warszawie rs. 1, p. Antoniego Puciaty w Warszawie rs. 8 kop. 40 (w tem jeden rubel metaliczny), p. Włodzimierza Powichrowskiego w Warszawie rs. 4, p. Tadeusza Chrzastowskiego w Warszawie rs. 61, p. Adama Tokarskiego w Warszawie rs. 34 kop. 25, p. ks. Euzebiusza Pietrusińskiego w Pniewie rs. 13, p. Teodora Moszyńskiego w Warszawie rs. 10, p. Konrada Zienkiewicza w Warszawie rs. 10, p. Artura Bardzkiego w Warszawie rs. 36, p. Feliksa Gebethnera w Warszawie rs. 234 kop. 65, od p. Wincentego Maleckiego w Kownie rs. 5, od p. Anny Hirschfeld w Warszawie dochód ze sprzedanej książeczki p. t. „Szarady i Logogryfy” rs. 200, zebrane na imieninach u p. B. przy ulicy Długiej w Warszawie rs. 18, dochód z przedstawienia w teatrze Wielkim d. 25 stycznia r. b. urządnego przez p. Helenę Modrzejewską rs. 1470 kop. 39; razem rs. 2269 kop. 19. Suma powyższa złożona została do depozytu Banku polskiego w listach Kredytowych w m. Warszawy do wyłącznej dyspozycji Komitetu Towarzystwa na cel wskazany. Obok tego p. Józef Reichman w Warszawie ofiarował przy rozpoczęciu budowy domu dla Towarzystwa 50 korey wapna bezpłatnie.

Licytacje w obrębie gubernii.

— W d. 3 (15) kwiet. w sądzie zjazd. w Częstochowie na sprzedaż nieruchomości w m. Będzinie przy ul. Bóżnicznej pod № 119, od sumy 450 rs.

— 27 lut. (11 marca) w m. Rawie w gmachu po-Augustyańskim na sprzedaż ruchomości pozostałych po śmierci ś. p. ks. G. Zawadzkiego.

— W d. 20 marca (1 kwiet.) w tutejszym sądzie zjazdowym na sprzedaż 22 morgi ziemi we wsi Boro-wo, gminie Łekawa, od sumy 1000 i niżej.

— Tegoż dnia, tamże, na sprzedaż dwóch mura-nych domów w m. Łodzi przy ul. Konstantynowskiej pod № 325 od sumy 10000 rs.

O G Ł O S Z E N I A.

SKŁAD WĘGLI Włodzimierza Sapińskiego

przy rogu Aleksandryjskiej alei.

Sprzedaje węgle w dobrym gatunku z dostawą do drwalni po cenie: Korzec grubego wagi 240 zł. kop. 85,—(rozsyła się w koszach 1/2 koreowych wagi 130 zł.) Na miarę w skrzyniach zamkniętych przez magistrat warszawski opieczetowanych po 5, 10 i 20 korey, po 83 kop. Na całe wagony z dostawą przed drwalnię, po cenach odpowiednich do cen kopalnianych.

Węgiel kowalski korzec po k. 70. Koks najlepszy zagraniczny pud 25 k. (franko skład). Drzewny węgiel kurzony korzec rs. 1. W składzie sprzedaje się każdą ilość. Zwózki węgla obcego dopełnia po rs. 5 za fur mankę od wagonu.

Zamówienia wszelkie należy robić w składzie z góry optacając.

OSTRZEŻENIE.

U węglarzy niektórych innych składów węgla, pojawiły się na czapkach blachy, forma podobne moim; — są one bez napisu firmy, lub z napisem niewyraźnym bez znaczenia.—Węglarze ci starają się sprzedawać na moje konto — naturalnie węgiel zły, bez właściwej wagi.—Na co mam zaszczyt zwrócić uwagę kupujących.

(13—6)

W piątek d. 13 lutego zginął na targu maślanym **parasol**. Łaskawy znalazca zechce go odnieść do domu p. Volgemutha pierwsze piętro. (1—1)

Mam zaszczyt zawiadomić JWW. PP. Obywateli ziemskich, że z rozporządzenia Władzy stałe zamieszkiwać będę w Petrokowie, i spełniać wszelkie czynności w zakresie weterynaryi wchodzące, poświęcając chętnie moje usługi na każde wezwanie. Mieszkam czasowo w domu p. Majcherskiego, na „Maskowskiej” ulicy.

(3—3)

MARKOWSKI.

OGIER

skaro gniady — czystej krwi angielskiej z rasy powozowej, ogromnej budowy — po ogierze Hullu, i matce **Bulie** importowanych z Anglii — za opłatą **rs. dziesięć** (rs. 10) pobrywa klacze, w dominium Kalska-Wola, dwie wiorsty od st. dr. żel. w-w. Baby. — Tenże ogier może być sprzedany za **rs. czterysta**. (2—2)

UDZIELA SIĘ

korepetycyj do klas niższych

wiadomość W w Redakcyi (0—12)

Z powodu wyjazdu są do sprzedania **meble mahoniowe** prawie nowe. Wiadomość za młynem parowym № 519, dom W-go Szymańskiego (3—3)

Feliks Łuniewski

JEOMETRA PRZYSIĘGLY

KLASY II-iej

zawiadamia osoby interesowane, że pozostawszy wolnym od zajęć rządowych, przyjmuje wszelkie czynności prywatne, jakoto: **pomiary i klasyfikacje dóbr, podziały kolonijalne i płodozmienne tychże, urządzenie lasów**, etc. etc. Adres: „Petroków”, ul. Moskiewska dom Spana, (0—6)

Fabryka MASZYN ROLNICZYCH

Przyjmuje wszelkie obstalunki i reparacje **maszyn rolniczych**, wszelkie reparacje **maszyn do sycia**, oraz inne delikatne mechaniczne roboty, po cenach **bardzo umiarkowanych**; — z jakimi to robotami mam zaszczyt polecić się względem WW. i JWW. Pań i Panów właścicieli maszyn.

Z uszanowaniem

M. KLEKOT

w domu W-go Bartenbacha przy bazarze. (8—4)

Poszukuje się

PANNY

z domu porządnego, do zajęć kobiecych. Wymaga się **sycia** wyborowego i **pięknego prasowania**. Wiadomość w gmachu Tow. Kre. Ziem. I-e piętro. (3—3)

Niżej podpisana, podejmuje się każdą osobę nauczyć w jaknajkrótszym czasie

Kroju damskiego,

na sposób francuzki, według obrachunku metrycznego, po cenie: za **cały kurs kroju bez sycia rs. 6**; za **krój wraz z nauką sycia rs. 9**, u siebie w mieszkaniu. Za eho-dzenie do domów dopłaca się rs. 4 od kursu.

Oprócz tego urządzam dla młodych panienek **lekcje kroju i sycia zbiorowe**, za opłatą rs. 1 miesięcznie od panienki. — Na żądanie udzielać mogę lekcji w zakładach naukowych. — Uczennice ze wsi mogą znaleźć na miejscu nocleg. Lekcje udzielam i w języku niemieckim. Świadectwa najlepsze okazuję na żądanie.

Z uszanowaniem

Matylda Piller z Beckerów
w domu W-go Dzwonkowskiego na focyjacie ul. Odeska. (3—2)

Biuro Ogłoszeń

dla wszystkich dzienników krajowych i zagranicznych
Rajchman i Frenkler
w Warszawie ulica Senatorska Nr. 13
Przyjmuje ogłoszenia po cenach redakcyjnych.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 13 powieści p. t. „Złote Noże”.

— Już się tam z nim porachował—rzekł, wracając do pierwszego pokój.
 Słyszano dwa lub trzy głośnie szczenięcia—po-
 tem nie.
 — No, teraz możemy porozmawiać spokojnie... Nie częstuje pana nicem... bo nie mam nic, ale po-
 zwoli pan wice-hrabia, że zjem moją zupę.
 — Daj mi wódki—zawołał wice-hrabia.
 — Zobaczę czy mam—odpowiedział Benedykt, a zbliżywszy się do szafy, szukał długą i znalazłszy resztkę jakas na dnie butelki, podał ją wice-hrabiemu razem z kieliszkiem.
 Henryk wypił wszystko jednym łykiem. Lekki rumieniec przebił mu się na policzki.
 Zrucił futro i ukazał się oczom dawnego strzel-
 ca bobrow w całej świetności balowego stroju.
 — Dopiero to ci krawcy zarabiają pieniądze, — myślał Benedykt.
 — Czy jesteś zawsze tym samym zuhem, smia-
 tym i na wszystko odważającym się?—zapytał nagłe wice-hrabia.
 Benedykt pierwszą łyżkę zupy niósł do ust; nie poknął jej jednak.
 — Eh, eh—rzekł—to zależy... jeżeli interes pew-
 ny!... Bo widzi pan... kiedy się ma swoje gniazdko...
 Jednem słowem... czy jest niebezpieczeństwo?
 — Wielkie niebezpieczeństwo — odpowiedział Henryk.
 — W takim razie, sługa pański—zawołał Bene-
 dykt—zawczasu proszę o dymisję.
 — Której ja nie przyjmuję panie Benedyckie—od-
 powiedział wice-hrabia.—Cóżś przywózł z tamtąd?
 — Nie wiele!—odpowiedział właściciel.
 — Od sprzedazy butelek z wodą z Missisipi, aż do wyjazdu z Ameryki—przerwał wice-hrabia — handlo-
 wales ciągle... udzielił twój w skrytce majora był do-
 bry... musisz być bogaty, bardzo bogaty... Dodaję za-

— Słucham—odpowiedział Benedykt—który zamierzał stawić opór swemu dawnemu panu.
 — Albo lepiej idź, otwórz drzwi i przywołaj twego psa Mohikana.
 — To prawda — szepnął właściciel, z pewnem wzruszeniem w głosie—Mohikan nie powrócił.
 — Zawołaj go.
 Benedykt otworzył drzwi. Dzień się robił. Benedykt gwizdnął.
 Śnieg padał ciągle grubemi płatami. Mohikan nie powracał.
 — Tu stary, tu!—zawołał Benedykt—tu—tu--tu
 Powrócił błąd; po chwili chciał wyjść, aby wo-
 łać jeszcze.
 — Niepotrzeba—rzekł wice-hrabia—pies nie po-
 wróci.
 — Dlaczego?
 — Bo nie żyje.
 — Nie żyje?—Zkąd pan wiesz?
 — Domyslałem się.
 — Któż go zabił?
 — Towah—indyjanin—odpowiedział Henryk po-
 wstając. Benedykt cofnął się przerażony. Zęby jego szczeniły.
 — Towah, którego nie zabiłeś tam, twym szty-
 letem—mówił dalej wice-hrabia. Towah, który towa-
 rzyszył swemu panu do Paryża... Towah, który odkrył twe ślady... i który ukryty w tej chwili znajduje się w twoim ogrodzie.
 Benedykt upadł na krzesło, jakby rażony piorunem.

Dawni Towarzysze.

Dzienne światło smutne i ponure zajrzało do iz-
 debki Benedykta. Śnieg przestał padać, wiatr, rozpę-
 dził już chmury, ale wiał ciągle z równą gwałtownością

Mohikan powstał i nagłe podskoczył ku oknu
 wychodzącemu na podwórze.
 — Co ty tam masz stary?—zapytał Benedykt.
 Mohikan głośno zaszecekał.
 — Daję słowo, tam ktoś jest w ogrodzie—zawo-
 łał Benedykt.
 Wice-hrabia wzruszył ramionami.
 — Udał się ulicą Fontenelle, przez rogatki Ro-
 chehouart—rzekł.
 — Kto taki?
 — Jerzy Leslie.
 — Któż to jest ten Jerzy Leslie?
 Straszliwe pytanie psa nie dozwoliło usłyszeć
 odpowiedzi.
 — Czy był ubrany szaro, ten pański Leslie?—za-
 pytał Benedykt.
 — Nie, czarno.
 — W takim razie nie jego widziałem.
 — Cięży mnie, że potrzebujesz pieniędzy Bene-
 dyckie—przemówił wice-hrabia, podnosząc nagłe gło-
 wę—jestem bogaty, interesy poszły mi świetnie.
 — Ja tylko nie miałem szczęścia—westchnął Be-
 nedykt — a zbliżywszy się do wice-hrabięgo dodał.
 Chcesz mi pan powierzyć jakas sprawę, nieprawdaż?
 — Tak jest—odpowiedział wice-hrabia.
 Szekanie Mohikana było tak zajadłe, że roz-
 mawiający słyszeć się nie mogli.
 Benedykt po chwilo wahanu rzekł:
 — Tem gorzej dla złodzieja! jutro znajdę w o-
 grodzie uduszonego człowika... złożę zeznanie... bę-
 dzie to pretekst dla innych.
 I wziąwszy psa za obrozę, przeszedł do sąsied-
 niego pokoju, z którego było wyjście na ogród.
 — No, idź stary, odważnie—zawołał.
 Zanim Benedykt zamknął drzwi, pies przesko-
 czył mur jednym sussem.

to właśnie w chwili, w której wice-hrabia i Jerzy
 Leslie rozłączyli się przy telegrafie.
 Benedykt, uprzątnawszy pokój, zajął się przygo-
 towaniem ogłoszeń o najmie mieszkań. Był to czło-
 wiek czterdziestoletni, siwiejący, z wejrzeniem chytrem,
 pod gestami brwiami. Ubrany był w kożuszek ja-
 kich zwykle używają handlarze win. Na stole leżały
 rejestry z szerzami cyfr. Mały garnuszek zupy grzał
 się przy ogniu.
 — Mohikan staje się coraz cięższym—myślał Be-
 nedykt—cheiałby tylko jeść i spać... muszę się dowie-
 dzieć, co kosztują sidła na wilki. Widzę, że nigdy nie
 wyjdę, z tego labiryntu—przerwał, opierając głowę na
 rękę—jeżeli cały mój fundusz dam na procent, przyjdzie
 rewolucyja, bankructwo i wszystko pójdzie do
 diabła... a przytem nie ma się go u siebie, nie można
 na niego patrzeć, rachować rano i wieczór... Bo na co
 zda się skarb, jeżeli go rachować nie można? Ale z
 drugiej strony pieniądz, nie przynoszący procentu, jest
 najkosztowniejszym zbytkiem... Tyle jest głupich wy-
 nalazków a niewynaleziono żadnego, któryby rozmna-
 żał pieniądze w piwnicy. To mówiąc roześmiał się.
 Benedykt Loyn nie należał do tych skąpców daw-
 nego stylu, którzy swą namiętność posuwają do osta-
 teczności. Chętnie żartował sam z siebie i tym spo-
 sobem rozweselał swą samotność.
 — Ba—ciągnął dalej—wolę zawsze przyglądać się
 mojemu skarbowi... może to i głupio... ale to mi się
 lepiej podoba. Trzebaby podnieść komorne!... Starość
 zbliża się przecież i wkrótce też nie będę potrzebował
 wydawać pieniędzy na kaszmiry i suknie z falbanami...
 Bo te choć kupowane w Temple... dyjabelnie kosztują!
 Widać, że p. Benedykt nie zerwał jeszcze sto-
 sunków z płcią piękną, chociaż zaczynał nienawidzić
 tych resztek młodości, pociągających go do trwonienia
 pieniędzy.

zamknięte na dwa spusty. Z po za uchylonych drzwi
 nigdy zasypał oczy właściciela.
 — Nic jesteś pan sam — zawołał Benedykt po
 wejściu wice-hrabiego.
 — Zupelnie sam—odpowiedział tenże.
 — Jestem pewny, że widziałem jakiś cien za pa-
 nem... a Mohikan...
 Mohikan warezat i naprzód usiłował gruby swój
 pysk weścisnąć pod próg domu.
 — Ależ śmiecie obadwaj; na całym Montmartre
 niema żywej duszy—zawołał wice-hrabia.
 Strzepnął futro pokryte śniegiem i wszedł do iz-
 by. Benedykt mu towarzyszył.
 Wice-hrabia wziął polano drzewa i poprawiwszy
 ogień wrzucił je. Potem upadł na stojący obok fotel.
 Wówczas dopiero Benedykt spostrzegł, że wice-hrabia
 był bład jak śmierć, a ciało jego drżało konwulsyjnie.
 — Co panu jest?—zawołał—czyżby się stało jakie
 nieszezęście?
 Wice-hrabia nie odpowiedział, oczy jego patrza-
 ły bystro a twarz zdradzała jakby obłąkanie.
 — Grat na gieldzie i przegrat—pomyślał Bene-
 dykt.
 — Miałem właśnie zamiar być u pana wice-hra-
 biego—powiedział też zaraz—chciałem pozyczyć trochę
 pieniędzy... Wiem, że pan wice-hrabia nie odmówi
 w potrzebie takiej bagatelii dawnemu swemu studentowi.
 — Ty w potrzebie, Benedykcio — odpowiedział
 wice-hrabia, patrząc mu w oczy.
 Benedykt spuścił wzrok.
 — Zie czas—szepnął—spekulacyjnie mnie zawiodły.
 — Później o tem mówić będziemy—przerwał wi-
 ce-hrabia—wpadając na nowo w zamyslenie.
 — Nie potrzebuję pieniędzy — pomyślał Bene-
 dykt—tem lepiej; ależ w takim razie czego on chce
 odemnie?

— 99 —

W tej chwili Mohikan, wielki chudy pies, któ-
 rego tak nazywał na pamiątkę swych podróży, podniósł
 pysk i otworzył zaspane oczy.
 — Cóż tam takiego próżniaku!—rzekł Benedykt—
 ktoś idzie ulicą, cóż w tem dziwnego? już po szóstej
 mój stary. Mohikan powstał na nogi i wyciągnął się;
 potem kładąc pysk na ziemi zawył głucho.
 Benedykt zbladł.
 — Czas szkaradny—szepnął—sprzyjałby rabusiom.
 Zastukano silnie do bramy; Benedykt pobiegł
 do stołu i szybko porwał pistolet. Mohikan weszyl
 powietrze.
 Zapukano po raz drugi silnej. Benedykt nabił
 pistolet, ręka jego drżała. Człowiek ten narażał się
 często na śmierć; jakież jednak śmiałość nie zdrży, wo-
 bec śmierci, jeżeli jedynym jest obrońcą matki lub nar-
 zeczonej? Benedykt nie miał ani matki, ani narze-
 czonej, ale... miał skarb swój.
 — Benedykcio otwórz—wołał głos zewnątrz.
 Mohikan zwinął ogon pod siebie i położył się
 przy ognisku. Wahał się jednak i patrzył uważnie na
 psa.
 — Czyś pewny, że to on?—zapytał.
 Pies poruszył ogonem.
 — Cóż u dyjabła mieć może za interes o tej go-
 dzinie—szepnął, kierując się ku drzwiom.
 — Mohikan do nogi—zawołał— a jeżeliś się po-
 mylił, strzeż się!
 Otworzywszy drzwi wypuścił naprzód psa. Drzwi
 od ulicy otwierały się na mały ogródek, do którego
 schodziło się po trzech stopniach.
 Otwórz Benedykcio, już od dziesięciu minut pu-
 kam—mówił głos z ulicy.
 — To pan jesteś, wice-hrabio—zapytał niedowie-
 rzająco właściciel.
 — Ależ ja; spiesz się.
 Benedykt odsunął ciężkie rygle i otworzył drzwi

— 86 —

— Wobec stu kobiet zamaskowanych... była
 — Cóż ztąd?
 — Prawdziwe moje nazwisko Henryk de Villiers.
 — Cóż więc?
 — Poznał mnie i wymienił moje nazwisko...
 — Markiz de Concha, dzisiejszy książę de Rivas,
 rzucił ogień jak dwa karabanki.
 — Volga me Dios!... czy pamiętam? I zrenice Benedykta
 — Jakie włosy u tej senority?... a jakie oczy...
 — Jakiej strony Rio Gila?
 — Pamiętasz tę noc karnawałową w Arispy, po
 — Doskonale.
 — Czy pamiętasz wycieczkę naszą do Sonory?
 — Jabelska sprawa...
 — W tem wszystkim jest jakiś prawdziwie dy-
 nedykt.
 — Któż go tak dobrze poinformował?—szepnął Be-
 dykt.
 I w kilku słowach opowiedział o zmianie podpisów.
 — Dnake major nazywał mnie wice-hrabia de Villiers.
 nie sądziłem za potrzebne powieścić ci o tem, a je-
 wit zwoła wice-hrabia—przed wyjazdem z Ameryki,
 — Major znał prawdziwe moje nazwisko—wymó-
 Edwarda Montroy.
 — Zu major dingo szukać będzie musiał awanturnika
 — W Paryżu, major—wyjął. Ależ w Pary-
 — Kyzka wypadła z rąk Benedykta.
 — Major jest w Paryżu.
 — Jaki?
 — Henryk.
 — Jestem zagrozony nagłą śmiercią—powtórzył
 usłyszał.
 — Co?—zapytał Benedykt—który sądził, że zle-
 ni obecnej, jestem zagrozony ruiną.
 — Kupione—bez dżugu—przed tego kapitały. Ale w chw-
 — Nie mam zyski; dawne posiadłości mojej rodziny wy-
 — rzenia giełdy w 1848 roku gram na zysk i znac-
 — Od czasu otwo-
 — raz, że ja jestem jeszcze bogatszy...
 — Major jest w Paryżu.
 — Kyzka wypadła z rąk Benedykta.
 — W Paryżu, major—wyjął. Ależ w Pary-
 — Zu major dingo szukać będzie musiał awanturnika
 — Edwarda Montroy.
 — Major znał prawdziwe moje nazwisko—wymó-
 wit zwoła wice-hrabia—przed wyjazdem z Ameryki,
 nie sądziłem za potrzebne powieścić ci o tem, a je-
 dnake major nazywał mnie wice-hrabia de Villiers.
 I w kilku słowach opowiedział o zmianie podpisów.
 — Któż go tak dobrze poinformował?—szepnął Be-
 dykt.
 — W tem wszystkim jest jakiś prawdziwie dy-
 nedykt.
 — Jabelska sprawa...
 — Czy pamiętasz wycieczkę naszą do Sonory?
 — Doskonale.
 — Pamiętasz tę noc karnawałową w Arispy, po
 — Jakiej strony Rio Gila?
 — Jakie włosy u tej senority?... a jakie oczy...
 — Volga me Dios!... czy pamiętam? I zrenice Benedykta
 — Markiz de Concha, dzisiejszy książę de Rivas,
 — Poznał mnie i wymienił moje nazwisko...
 — Cóż więc?
 — Prawdziwe moje nazwisko Henryk de Villiers.
 — Cóż ztąd?
 — Wobec stu kobiet zamaskowanych... była

— 102 —

i ta cudowna istota, w ubiorze pasterki z kadyksu,
 której czarne spłoty spadały aż do ziemi.
 — Córka alkada?
 — Córka alkada z San Felipo... ona nie zdjęła
 maski, ale była prowadzoną przez Rivasa kiedy wy-
 mienił moje nazwisko. Wkrótce potem generał Nu-
 nez, gospodarz domu, powitał mnie pod przybranym
 nazwiskiem Edwarda de Montroy; pasterka spojrzala
 na mnie.
 — No a chociażby tak było—odrzekł Benedykt.
 — Kiedy spotkaliśmy, u stóp Golden-dagger, ma-
 jora niesionego przez Vecinosów z twarzą zasłoniętą,
 czy wiesz gdzie go niesiono?
 — Nie, wiem to tylko, że naczelnik złotych no-
 zów miał więcej niż 200,000 piastrow w swojej skryt-
 ce i że moja przyjaciółka Lili miała bardzo ładne oczy.
 — Niedługo mówić będziemy o paniawczyku i
 jego żonie—wymówił ciszej Henryk—przedewszystkiem
 musisz wiedzieć, gdzie Vecinosi niesli majora.
 — Słucham.
 — Zanieśli go do San Felipo, gdzie był więźniem
 rok cały, odwiedzany codziennie przez pasterkę z
 Arispy, senorę Carmel—która w nim się pokochała.
 — Tam do dyjabła—zawołał Benedykt — prze-
 cież major utracił wzrok.
 — Odzyskał go już.
 — Do dyjabła to zmienia postać rzeczy. Jakże
 pan wybrniesz z tego wszystkiego?
 — Liczyłem na ciebie.
 — Abym dopomógł do sprzątnięcia majora —
 rzekł Benedykt powstając.—Sługa pański!... jużem tam
 w Baltimore pozbył się mego indyjanina... a nie
 chwalać się myślę, że przez to nie mała i panu memu
 zrobiłem przysługę!... Teraz spieć sobie spokojnie... nie
 jestem głupi, abym na nowo zaczynał.
 — Siadaj—zawołał Henryk.

— 103 —